

[powrót do](#)
[poprzedniej części](#)

Witajcie drodzy Grafomani. W dzisiejszym odcinku powiemy sobie kilka słów od tym jak zacząć i jak skończyć. A zatem: Wymyśliliśmy bohatera i sądzymy, że gotów jest by pokazać go światu. Narysowaliśmy mapkę naszych krain, mamy pomysł na przygody. I co dalej?

W epoce około 1985 roku nieliczne komputery posiadali równie nieliczni milionerzy. Aczkolwiek śledząc filmy made in Hollywood można się było przekonać, że tam komputer to coś normalnego, naturalnego - jeszcze jeden sprzęt domowy... Maszyny do pisania były duże ciężkie, nie sposób było na nich korygować błędów, obsługa wymagała siły fizycznej, a warunki pracy w ciągłym łomocie mechanizmu były dalekie od komfortu. W dodatku w tej epoce były problemy z papierem. Kochana władza dbała by dobro to - używane do druku ulotek - nie było powszechnie dostępne. Maszynę do pisania miałem w domu. Z papierem był problem. W dodatku napisanie czegokolwiek wobec braku biegłości trwało godzinami.

Zacząłem w zeszycie w linie. Pisałem długopisem. Przez następne 10 lat ręcznie napisałem około 2500 stron. Niektóre były rzadsze, inne gęściej pokryte literkami - ale przyjmuję, że średnia wyszła taka sama - 2500 stron znormalizowanego maszynopisu. Potem, dobrych kilka lat po nastaniu epoki kapitalizmu, przesiadłem się na komputer.

Na początku nie umiałem nic. Chciałem zapisać swoje myśli i marzenia. Odtworzyć krainę, do której uciekałem od rzeczywistości. W dodatku nie sadziłem, by ktokolwiek tę książkę kiedykolwiek wydał. Opowiadała o buncie przeciw socjalizmowi - a ten wydawał się wówczas niezniszczalnym monolitem. Pierwszą wersję zniszczyłem - dziś trochę tego żałuję. Kilka cytatów pokazałoby Wam, jak długą drogę musiałem przejść, nim nauczyłem się formułować myśli w sposób przyswajalny dla drugiego człowieka.

A zatem weźmy ulubiony długopis, kajet i otwórzmy na pierwszej stronie. Na górze piszemy tytuł. Poniżej pierwszy akapit. Wydaje się to proste - ale wcale nie jest. Po co opowiadanie czy powieść ma tytuł? Otóż - zabrzmi to brutalnie - po to by zachęcić czytelnika. Tylko i wyłącznie. Człowiek, który przyjdzie do księgarni z garścią uciulanych, często z trudem, pieniędzy, nie wie na co się zdecydować. Jeśli koledzy nie powiedzą mu że coś warto przeczytać, stanie przed półkami, na których leży tysiąc książek. I ma dylemat - co wybrać.

Przeważnie nasz przyszły czytelnik kieruje się wzrokiem - wybierze książki o najciekawszej okładce. Teraz jego wzrok pada na tytuły i zaczyna się głębszy poziom analizy. Tytuł, obok okładki, jest tym co ma skłonić go do sięgnięcia po nasze dzieło. Musi być prosty, w miarę zwięzły intrygujący, łatwy do zapamiętania.

"Milczenie Owiec" - jest tu dobrym przykładem. Jeśli nie widzieliśmy filmu, zaciekawi nas co to u licha jest? Powieść z życia pasterzy? I dlaczego te owce milczą zamiast beczeć? Albo "Czekając w ciemności" - kto czeka, na kogo, dlaczego po ciemku? - pytania cisną się czytelnikowi automatycznie. Inny przykład "Wilcze gniazdo" - tu znowu czujemy, że to jakaś metafora - wilki nie żyją przecież w gniazdach - wilcze gniazdo kojarz nam się z bandą rozbójników, powieścią łotzykowską albo czymś podobnym. Rysunek pokancerowanego szlachetki na okładce tylko pomaga domyślić się w jakiej epoce rzecz się rozgrywa. Czasem tytuł może nam sporo zdradzić - np. powieść "Człowiek z Petersburga" - wydana została jeszcze

w czasach, gdy Petersburg nazywał się Leningrad. W tym przypadku tytuł wskazuje nam automatycznie nie powieść historyczną lub historyczno przygodową... O tytułach w rodzaju "Instrument rozkoszy", "Słodkie kuzynki" czy "Wyznania chińskiej kurtyzany" - nie muszę chyba wspominać. Tam mamy od razu kawę wyłożoną na ławę...

Zasadniczo nie należy używać w tytułach nazwisk - zwłaszcza takich, które nikomu nic nie mówią... Powieść o tytule np. "Pan Wołodyjowski" potencjalny czytelnik ominie. Nie słyszał o gościu, nie obchodzi go. Ale już "Ogniem i mieczem" - może wzbudzić jego zainteresowanie.

Wiem. Moja pierwsza książka opublikowana pod nazwiskiem nosiła tytuł "Kroniki Jakuba Wędrowycza". Zdecydowałem się na taki z bardzo prozaicznego powodu. Moje opowiadania na łamach "Fenixa" czytało ok. 15 tys. potencjalnych czytelników. Minęło kilka lat i obawiałem się, że zapomnieli, kto je napisał - natomiast nazwisko Wędrowycz jest na tyle charakterystyczne, że powinno się skojarzyć.

Tytuł drugi "Czarownik Iwanow" - jest nietrafiony. Książkę tę ratuje wyłącznie znakomita okładka. Trzeci tom "Weźmisz czarno kure" - ma chyba najładniejszy tytuł. Wskazuje, że będzie coś o magii, jednocześnie stylizacja językowa tworzy klimat - może zainteresować. Czemu weźmisz, a nie weźmiesz... Zestawienie tytułu z obrazkiem dziwnie ubranego kolesia, ostrzającego siekierą o jeden z głązów kamiennego kręgu, działa jak cios maczugą.

Generalnie jednak najbardziej zadowolony jestem z tytułu nie książki ale opowiadania - "2586 kroków". Dlaczego akurat tyle? Cholera wie, tyle mi się wymyśliło. Ale wygląda intrygująco i o to właśnie chodzi. Rozwikłanie zagadki tytułu znajduje się u mnie głęboko w środku - podobnie jak długo musieli czekać czytelnicy "milczenia owiec"...

Miałem problem z powieścią "Kuzynki". Tytuł odziedziczyła po opowiadaniu, które weszło w jej skład. Z jednej strony było to znowu puszczenie oka do czytelników, którzy je poznali i polubili. Z drugiej zaś mógł to być poważny błąd. Czy ktoś skusi się na sięgnięcie po książkę o takim tytule? Nie wiedziałem - ale nie byłem w stanie wymyślić nic lepszego. Obawiałem się jeszcze jednego - nazwijmy to niezdrowych skojarzeń. "Kuzynki", "Słodkie kuzynki"...

Z drugiej strony tytuł był krótki i dźwięczny - łatwy do powtórzenia. Zaryzykowałem. I znowu się udało.

W chwili, gdy czytelnik skuszony tytułem sięgnie po książkę, możemy sobie zanotować na koncie 10% sukcesu. W 9 przypadkach na 10 obejrzy, zobaczy cenę i odłoży z powrotem na ladę. Ale ważne, że weźmie ją do ręki. Narowy czytelników, którzy podziwiają nasze dzieło zamiast od razu kłusować do kasy, są bardzo ciekawe i różnorodne.

Musimy się nastawić, że potencjalny klient zechce się czegoś dowiedzieć. Stąd na tylnej stronie okładki umieszcza się entuzjastyczne recenzje nieistniejących, ale zagranicznych gazet, informacje o nominacji do nieistniejących nagród, opinie wieszczów i autorytetów moralnych etc. Ja dorzuciłem do tego garść fikcyjnych ogłoszeń drobnych. Innym chwytem jest zamieszczenie krótkiego dynamicznego fragmentu - kilkanaście linijek mających zaintrygować czytelnika.

Co jeszcze robi nasz przyszły czytelnik stojący w księgarni z naszym dziełem w dłoni? Obejrzawszy z przodu i tyłu może sobie otworzyć w środku i przeczytać kawałek - tu nie mamy wpływu na jego decyzje - otworzyć może gdziekolwiek. Trudno sprawić, żeby cała książka była równie dobra we wszystkich miejscach... Ale trzeba się starać!

Krok kolejny - masa ludzi czyta najpierw pierwsze, a potem ostatnie zdanie. (polecam - doskonała zabawa). Dla takich świrów można przygotować coś specjalnego. I tu przechodzimy do meritum dzisiejszej lekcji. Pierwsze zdanie pierwszy akapit, pierwsza strona. Tu kupujemy czytelnika. W tym miejscu przekonujemy go, żeby wydał forszę na nasze dzieło, a nie na najnowszą książkę Sapkowskiego. Pierwsze zdanie musi wgnieść go w ziemię, sprawić żeby żołądek zjechał mu do gatek, żeby z radości ściągnął majtki przez głowę... Sięgnijmy do "Zapisków oficera armii czerwonej" B. Piseckiego i co

czytamy? "Noc była czarna jak sumienie faszysty, jak zamiary polskiego pana, jak polityka angielskiego ministra". I co Wy na to? Ma to zdanie ciężar gatunkowy. Przeszło do historii literatury... "Jakub Wędrowycz drgnął nieznacznie, gdy wystrzelona nie wiadomo przez kogo kula, urwała mu kawałek ucha" - to do historii literatury nie przejdzie, ale może posłużyć za przykład. Albo "Tętniącym sercem Wenecji jest plac św. Marka wprawiany w nieustanne drżenie falującym tłumem turystów" - tak zaczyna się książka Petera Arnotta "Cywilizacja bizantyjska". Zdanie jest piękne, poetyckie obiecuje ucztę intelektualną. Niestety otwiera ono 400 stronicową, nudną jak flaki z olejem, monografię naukową...

Pierwsze zdanie to nie wszystko. Za nim muszą popłynąć kolejne. Jak zaczyna się "Kontrola" W. Suworowa? "A teraz całuj but" - mocne uderzenie, celne, między oczy. Wiemy, że mamy w ręce książkę nasyconą brutalną prawdą... A z następnych zdań wynika, że jesteśmy świadkiem egzekucji głównej bohaterki... Hitchcock napisał kiedyś jako poradnik dla filmowców, że w pierwszej scenie filmu powinno być trzęsienie ziemi, potem napięcie ma nieustannie rosnąć - pisząc książkę trzęsienie ziemi zawrzyjmy w pierwszym akapicie.

Pierwsza strona to wizytówka naszej książki. Tu musimy dać z siebie wszystko - aby potencjalny czytelnik stojący przy księgarnianej ladzie doczytał ją do końca i przewrócił kartkę. W tym momencie możemy sobie pogratulować. - Złapał bakcyła. Prawdopodobieństwo, że książkę odłoży z każdą przeczytaną stroną jest coraz mniejsze.

Nawet najlepsza książka, wszechstronnie genialna etc. wymaga dopieszczenia - ostatecznego szlifu... Brylant oprawiamy w ramy, którymi jest początek i zakończenie. Pierwsze i ostatnie zdanie. Pierwsza i ostatnia strona. Dobrze wrażenie na początku, miłe wspomnienie po przeczytaniu ostatniej linijki. Powitajmy i pożegnajmy czytelnika godnie, gościnnie, po staropolsku. Kupuje naszą książkę za swoje z trudem zarobione pieniądze - okażmy mu szacunek.

[przejdź do](#)
[następnej części](#)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

valdens, dodano 30.10.2008 11:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.